

DOKĄD PIELGRZYMUJEMY?
DAWNE DROGI I NOWE CELE

NOTKER WOLF OSB
LEO G. LINDER

DOKĄD PIELGRZYMUJEMY?
DAWNE DROGI I NOWE CELE

Przekład
Radosław Biskup



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Tytuł oryginału:

Wohin pilgern wir? Alte Wege und neue Ziele

Copyright © 2009 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg

Projekt okładki:

KAMIL KWIATKOWSKI

Redakcja:

ALDONA IBEK

Korekta:

ANNA NOWAK

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 100/2011, Tyniec, dnia 21.06.2011

† Bernard Sawicki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze, Kraków 2013

ISBN 978-83-7354-479-6

© Copyright for the polish edition by TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel.: +48 (12) 688-52-95, fax: +48 (12) 688-52-91

e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów

zamowienia@tyniec.com.pl

SPIS TREŚCI

Psalm 121	7
Rozdział I	
„Opuściłem moje stulecie”	
O odwadze do eksperymentu na samym sobie	9
Rozdział II	
„Abram udał się w drogę, jak mu Pan rozkazał”	
Czy sama droga może być celem?	23
Rozdział III	
„Bóg musi być bliżej mnie, a ja bliżej Boga”	
Tęsknota potrzebuje miejsca w doczesności	39
Rozdział IV	
„Jakże cudowne i cenne jest odwiedzenie twojego grobu!”	
Wyprawa do świata cudów	53
Rozdział V	
„Niech Bóg osądza występki klechów”	
O świętych szczątkach i innych relikwiach.....	69
Rozdział VI	
„Gdy widzi się ich jedzących, to zdaje się mieć przed sobą gryzące psy”	
Gdy obczyzna szykuje niespodzianki	85
Rozdział VII	
„Na drogach do świętych jest bezmiar nieprawości i oszustwa”	
Czego pielgrzym mógł się spodziewać po drodze?	101
Rozdział VIII	
„Każdego przechodzą ciarki”	
Wreszcie u celu!	119
Rozdział IX	
„Do Rzymu dotarłem w Wielki Post...”	
Dwaj średniowieczni pielgrzymi w Rzymie i Jerozolimie	135

Rozdział X	
„Twoje życie ma sens! Zostaniesz misjonarzem!”	
Moje wstąpienie do klasztoru	151
Rozdział XI	
„Przyjdź, proszę!”	
Jako arcyopat w drodze na pustynnych szlakach	
i górskich ścieżkach.....	165
Rozdział XII	
„Każdy dzień żąda nowego ja-wysiłku”	
Co możemy przenieść ze świata pielgrzymów do naszego życia?	181
Rozdział XIII	
„Wszyscy przychodzący goście mają być przyjmowani jak Chrystus”	
O gościnności.....	193
Rozdział XIV	
„Pozwól sobie na samego siebie!”	
Dlaczego wciąż powinniśmy pytać o sens życia?	211
Rozdział XV	
„Nie mam religijnych powodów”	
Co odróżnia pielgrzymowanie od wędrówki?	225

PSALM 121

Pieśń pielgrzymów¹

Bóg czuwa nad nami

Wznoszę swe oczy ku górom:
skądże nadejdzie mi pomoc?

Pomoc mi przyjdzie od Pana,
co stworzył niebo i ziemię.

On nie pozwoli zachwiać się twej nodze,
ani się zdrzemnie ten, który cię strzeże.

On nie zdrzemnie się
ani nie zaśnie

Ten, który czuwa nad Izraelem.

Pan cię strzeże,

Pan twoim cieniem

przy twym boku prawym.

Za dnia nie porazi cię słońce,
ni księżyc wśród nocy.

Pan cię uchroni od zła wszelkiego,
czuwa nad twoim życiem.

Pan będzie strzegł
twego wyjścia i przyjścia
teraz i po wieczne czasy.

¹Tłum. *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2000 (wyd. 5). Wszystkie kolejne cytaty biblijne zaczerpnięte są z tego przekładu.

ROZDZIAŁ I
„OPUŚCIŁEM MOJE STULECIE”

O ODWADZE DO EKSPERYMENTU
NA SAMYM SOBIE

Czy można sobie wychodzić wiarę? Wywędrować? Wypielgrzymować? Czy podczas pielgrzymki można przypadkowo spotkać Boga, czy też wcale nie?

Wówczas, kiedy miałem szesnaście lat i brałem udział w mojej pierwszej pielgrzymce, nie rozumiałbym w ogóle takich pytań. Wiara była naszym napędem, naszym impulsem – bo cóż innego uskrzydliłoby nas do tego pobożnego przedsięwzięcia, podczas którego trzeba było stawić czoło wiatrowi i pogodzie, zmęczonym kościom i pęcherzom na stopach? Pęcherze pojawiały się; w tych butach, w których wyruszyliśmy w drogę, to było pewne. Nie – postrzegaliśmy siebie jako pełnych entuzjazmu chrześcijan, którzy wyruszają z kościoła i salki katechetycznej, i chcą śpiewem oraz modlitwą podbić krajowe drogi, jako wędrujący ludek Boży w drodze do jakiegoś wiele obiecującego celu. Jednocześnie nie ryzykowaliśmy przy tym jakiejś próby sił. Przy mojej skromnej posturze heroizm, także ten pobożny, był dla mnie czymś odległym. Samochodem dotarlibyśmy do celu w dwie godziny. My jednak chcieliśmy połączyć wiarę z jakimś szczególnym przeżyciem i z cielesnym wysiłkiem, czego nie doświadcza się na co dzień, a to wszystko mieliśmy zapewnione na studwudziestokilometrowej drodze z Monachium do Altötting.

Wyruszyliśmy zatem, w dwóch rzędach poboczem drogi krajowej, mniej więcej setka młodych ludzi z różnych miejscowości,

kapłan na przedzie. Był 1957 rok i była to pierwsza z trzech pielgrzymek, które podjąłem do Altötting. Muszę tutaj dodać: byłem wówczas członkiem Legionu Maryi. Legion Maryi – tę cokolwiek wojowniczą nazwę zawdzięczał maryjnej fascynacji Irlandczyków. Tam, w Irlandii, Legion Maryi został powołany do życia w latach 20. ubiegłego wieku jako katolicki ruch świeckich. To, co mi się wówczas podobało to kombinacja systematycznej modlitwy i strategicznie zaplanowanych działań w interesie słabych, starszych i chorych. Ten, kto wstępował do Legionu Maryi, musiał brać w tym udział i chciał tego, poświęcał znaczną część wolnego czasu w służbie dla bliźnich, a skutkiem ubocznym naszego zapału była właśnie ta pielgrzymka do sanktuarium maryjnego Altötting. Jak łatwo więc teraz zgadnąć, miałem wówczas szczególne upodobanie w Matce Bożej i zachowałem je w sobie po dziś dzień. Muszę dodać, że to upodobanie nigdy nie osiągnęło poziomu wysokiej teologii. Było i jest wyrazem codziennej pobożności, która nie chce poddać się krytyce rozumu, lecz w skromny i prosty sposób wypływa z głębi serca. Maryja troszczyła się jako matka o Jezusa, więc teraz proszę o to aby i o mnie się zatroszczyła – tak myślałem wówczas i dalej tak myślę.

W porządku – podążaliśmy więc przez kraj w długim podwójnym rzędzie poboczem asfaltowej drogi, nie niepokojeni przez auta, gdyż ruch na drogach pod koniec lat 50. był niewielki. Ponieważ był to okres zielonoświątkowy, musieliśmy liczyć się z opadami deszczu, dlatego wszyscy mieli przy sobie parasole, a jednym z nich mężczyzna na przedzie dyrygował naszym śpiewem wielogłosowym. Przez całą drogę bowiem, tak długo jak szliśmy, bez przerwy śpiewaliśmy i modliliśmy się. Parasol na przemian pojawiał się to po lewej, to po prawej stronie w zależności od tego, który rząd miał śpiewać. Modlitwa „Ojcze nasz” zmieniała w połowie stronę, cała modlitwa różańcowa była podzielona na prawą i lewą stronę, a kiedy jeden rząd rozpoczynał od „Zdrowaś Mario”,

druga strona odpowiadała „Święta Mario, Matko Boża módl się za nami grzesznymi”. A w międzyczasie pieśni maryjne i modlitwy, tak że docieraliśmy do połowy śpiewnika. Zdarzało się, że na niebie pojawiały się ciemne chmury i faktycznie była ulewa; wówczas przestawał funkcjonować ten czysty podział na głosy i dochodziło do pewnego zamieszania, co uważaliśmy za zabawne. Deszcz jednak nie mógł nas zatrzymać.

Na przedzie był niesiony krzyż. Ciężki, drewniany krzyż. Krzyż co chwilę przechodził z jednego ramienia na drugie, a kto go ze zręcznością odpowiednio nie zrównoważył, ten się wywracał. Porządnie się z nim męczyliśmy. Dlaczego? Być może, aby coś odpokutować. Oprócz tego mieliśmy chyba jedną lub dwie chorągwie. Nie jestem pewien, ale jeżeli tak było, to traktowaliśmy je nie jako symbole triumfu, ale jako z daleka widoczny wyraz naszej radości. Ponieważ to radość pozwalała nam na to wszystko, na marsz, na modlitwę, na śpiew, na dźwiganie; na docenianie odpoczynku, na chwile wytchnienia w chłodzie lub – co było dla nas jeszcze bardziej pożądane – suchej nawie kościoła, również przy przydrożnym krzyżu lub na skraju lasu, gdzie się ponownie zbierano, modlono, medytowano lub po prostu rozmawiano, aż do chwili, gdy zeszli się ostatni maruderzy.

Przypominam sobie dobrze i chętnie wspominam te wczesne pielgrzymki, a szczególnie przyjemnie zapadły w mojej pamięci noclegi. Pod koniec pierwszego dnia znaleźliśmy schronienie w szkole, która była prowadzona przez siostry. W klasach były rozłożone zwykłe materace i materace dmuchane, a przed pójściem spać przyjazna zakonnica uraczyła nas herbatą z malwy, pytając za każdym razem: „Czy mogę nalać jeszcze czegoś ciepłego?” Do tego wszyscy byliśmy razem i jeszcze w miarę rześcy, śpiewaliśmy dla odmiany świeckie piosenki, niewinne piosenki rajdowe, których wszelako przez cały dzień nasz ksiądz nam surowo zabraniał.

Następnego wieczoru zostaliśmy rozdzieleni do osób prywatnych, którzy – tak było wówczas – czuli się zaszczyceni, że mogą gościć młodych pątników. Nie mogę sobie teraz przypomnieć nazwy wsi, ale za to bardzo dobrze przypominam sobie to szczęście, które mnie i mojemu przyjacielowi (obecnie opatowi w Afryce Wschodniej) było sądzone tamtej drugiej nocy: w pewnym sklepie wielobranżowym poza miejscowością oczekiwała nas miła starsza pani z francuskim koniakiem, plastrami i dobrym jedzeniem. Nie pozwoliła na to, abyśmy własnoręcznie wycierali sobie stopy i opatrywali pęcherze od chodzenia w twardych skórzanych butach, tak bardzo się o nas zatroszczyła. Widzę wyraźnie także dwa łóżka w alkowie ponad sklepem ciotki Emmy: stare drewniane łoża z trzyczęściowymi materacami i pierzynami, w których można było zatonać. Byliśmy okropnie zmęczeni, i spało nam się w nich znakomicie.

Trzeciego dnia, późnym przedpołudniem, osiągnęliśmy nasz cel: Altötting. Bogate w tradycję, bawarskie sanktuarium, już wówczas najważniejsze miejsce pielgrzymkowe w Niemczech. Dobrze być na miejscu. Nie chcieliśmy jednak od razu poddawać się świetnemu nastrojowi po przybyciu i zrobiliśmy z naszym krzyżem jeszcze kilka kółek wokół kościoła zanim na placu przed bazyliką połączyliśmy się z drugą grupą pielgrzymów z Ratzbozny. Kiedy wówczas wkraczaliśmy do bazyliki stanowiliśmy pokaźną grupę, która rzucała się w oczy.

Późniejsze nabożeństwo wspominam jako podniosłe przeżycie. Świętowaliśmy mszę świętą jako wspólnota młodych ludzi, którzy wszyscy dokonali tego samego, w której każdy dzielił z drugą osobą wspomnienie trudu jak i modlitwy ostatnich dni. A oprócz satysfakcji z bycia u celu musiała się również w każdym pojawiać odrobina dumy. Po mszy rozeszliśmy się do goszczących nas domów, piliśmy nasze pierwsze piwo, raczyliśmy się białymi kiełbaskami i preclami domowego wypieku, pisaliśmy na wyścigi

pocztówki i wreszcie ruszaliśmy w drogę powrotną, z dworca kolejowego, pociągiem. Wciąż widzę jeszcze ciężki drewniany krzyż w korytarzu przed naszym przedziałem.

Obawiam się, że historia mojej pierwszej pielgrzymki będzie brzmieć w uszach młodych ludzi całkiem prostodusznie a jednak jakoś obco, prawdopodobnie przestarzałe i nazbyt wzruszająco. Pobożne uniesienie, z jakim posyłałaliśmy nasze pieśni i modlitwy do nie zawsze błękitnego bawarskiego nieba, różni się od obrazu dzisiejszych pielgrzymów z ich nowoczesnymi butami i specjalnymi plecakami. Oni wędrują samotnie w ciszy lub w małych grupach na jednej z obecnie tak popularnych tras pielgrzymkowych, z setkami kilometrów przed sobą, a przy tym tak energicznie kroczący, że ja sam długo nie mogę utrzymać takiego tempa. Wydaje mi się jednak, że pierwszy sposób pielgrzymowania ma z tym drugim o wiele więcej wspólnego, niż na pierwszy rzut oka można byłoby sądzić. Pewnie, nasze ówczesne pielgrzymki były wyrazem naszej wiary i każdy miał się dowiedzieć, że ta wiara to radosna sprawa. Ale to, co pozostaje w mojej pamięci jako uszczęśliwiająca to doświadczenia, które osoba niewierząca mogłaby również uważać za piękne.

Niech tylko wspomnę, z jakim opanowaniem, z jak wielką dozą humoru traktuje się wszystkie przeciwności tego przedsięwzięcia, bolące stopy, skarpety przemoczone do suchej nitki po rzęsiwej ulewie – bo pielgrzymowi, chodzi właśnie o to, żeby przeżyć coś innego, coś wyższego i poważniejszego, jeżeli nawet nie myśli wtedy o Bogu. Na nas w każdym razie żadna niesprawiedliwość nie robiła wrażenia, a jeżeli ktoś upadał na duchu, wówczas był podnoszony przez odporniejszych towarzyszy niedoli.

Potem doświadczenie gościnności. Być podejmowanym i opatrywanym przez całkowicie obcych ludzi, tak jak my doświadczyliśmy matczyną troskę starszej żony sklepikarza. Będąc pielgrzymem jest się cały czas zdany na obcych, nie doświadcza się tego

jednak bynajmniej niechętnie jako ograniczenia własnej wolności, lecz z ulgą jako pełne zaufania poświęcenie się drugiej osoby. Komu przydarzyła się taka wspaniałomyślność i gościnność, ten nie zapomni jej przez całe życie.

I wreszcie doświadczenie wspólnoty. Z pewnością, szczególne wrażenie wywarła na nas wspólnota w modlitwie i doświadczenie, że jako wierzący nie jesteśmy sami, z dużą liczbą podobnie myślących i czujących, zmierzających do tego samego celu. Wiem jednak z opowiadań, że dzisiejsi pielgrzymi odczuwają to poczucie wspólnoty jako równie uszczęśliwiające, kiedy nawiązują w drodze przypadkowe znajomości na kilka dni, razem wędrują i razem zatrzymują się na postój, a wieczorami siedzą obok siebie w kręgu. Solidarność jest chyba tym słowem, które najtrafniej wyjaśnia chęć do pielgrzymowania, to pierwotne, oczywiste i ludzkie zespolenie. Kiedy wracam myślami do naszych pielgrzymek, czuję w każdym razie ciągle radość, która nas wówczas wypełniała od pierwszej do ostatniej chwili w poczuciu solidarności.

Cóż więc z wiarą? Czy faktycznie można ją sobie wychodzić? Czy wiara jest jeszcze jakimkolwiek warunkiem tego, aby pielgrzymować z pożytkiem dla swego życia? Czy lepiej w ogóle zostawić za sobą cały ten religijny kram i czy wraca się wtedy odmienionym z jakiegokolwiek pielgrzymki?

To bowiem, że coś się sobie obiecuje po podróży pielgrzymkowej, coś, co poruszy jakąś strunę w duszy, możliwie głęboko, możliwie trwale, wydaje mi się dzisiaj niczym innym jak wcześniej, w czasach rozkwitu średniowiecznego pielgrzymowania. To, czy podąża się przy tym za jakąś obietnicą, czy też ulega się jakiemuś wewnętrznemu niepokojowi, nawet nie jest decydujące dla powodzenia takiej podróży. Ludzie od zawsze mieli najprzeróżniejsze powody, aby wyruszyć w drogę, również we wcześniejszych czasach, gdy wiara zawsze wchodziła w grę tak u dobrych, jak i złych chrześcijan. Wydaje mi się, że największa różnica między wczoraj

i dziś jest taka: dzisiaj na pierwszym planie znajduje się poszukiwanie, natomiast wcześniej pewność odnalezienia.

I to jest dziwne. Jesteśmy bowiem dalecy od tego, żeby trwonić cenny czas na poszukiwania. Czy poszukiwanie – uciążliwe i czasochłonne – nie ustąpiło dzisiaj miejsca ideałowi łatwizny? Szukać – po co? To już się praktycznie nie zdarza, żeby nie trafić do miejsca przeznaczenia. W życiu codziennym każdemu oszczędzone jest szukanie, urządzenia nawigacyjne biorą nas niczym dzieci za rękę i niemal zawsze ma się tę gwarancję, że dojdziemy na miejsce, choćby nasz cel znajdował się bardzo daleko. Każde poszukiwanie można skrócić, a informacje uzyskujemy po naciśnięciu guzika. Żyjemy więc w czasach, w których nikt nie chce dłużej zajmować się szukaniem, a postęp techniczny to ułatwia.

Natomiast w świecie średniowiecznych pielgrzymów... W ich świecie nigdy nie było ustalone, czy kiedykolwiek odnajdzie się właściwą drogę, do Rzymu, Santiago de Compostela lub Jerozolimy, czy kiedykolwiek osiągnie się swój cel – i często trzeba było z wysiłkiem szukać swojej drogi. Powodzenie pielgrzymki znajdowało się w gwiazdach. Mimo to dzisiejsze szlaki pielgrzymkowe wypełnione są ludźmi, którzy poszukują, podczas gdy pielgrzymkowe trasy w przeszłości były zaludnione ludźmi, którzy nie mieli żadnych wątpliwości, że znajdą. Wiedzieli, co czeka na nich u kresu długiej drogi, mianowicie zazwyczaj święty, który ma dla nich pociechę i przebaczenie, nowe siły i być może nawet odpuszczenie ciężkich grzechów – zatem to, co warte jest każdego wysiłku. Dokładnie tak samo dla nas, nastoletnich pielgrzymów do Altötting było absolutnie jasne, że na końcu naszej krótkiej drogi znajdziemy Matkę Bożą, a więc Tę, pod której szczególną obronę się uciekaliśmy.

Czego spodziewa się współczesny pątnik po swojej podróży? Co ma nadzieję znaleźć u jej kresu? Ciężko powiedzieć. W większości przypadków zapewne nic określonego. Wraz z utratą peł-

nej wiary i ufności przebrzmiało również oddziaływanie świętych – ale nie fascynacja pewnymi miejscami pielgrzymkowymi, co jest kolejną zastanawiającą sprawą. Radości z pielgrzymowania nie może zaszkodzić to, że niczego nie oczekuje się po nawiedzeniu grobu jakiegoś świętego czy jakiejś Madonny. Tak jak od tysięcy lat, tak i teraz jeszcze święci określają cele pielgrzymowania, i to pomimo podnoszonych niekiedy poważnych wątpliwości. Któż chciałby się na przykład założyć o to, że w hiszpańskim Santiago de Compostela faktycznie spoczywają szczątki apostoła Jakuba? Już w późnym średniowieczu uważano to za coś umownego.

Z pewnością nadal czczeni są ulubieni święci, a ich miejsca pochówku cieszą się dużą popularnością. Święty Franciszek z Asyżu od zawsze przyciąga pielgrzymów, także szczególnie czczony we Włoszech św. Antoni z Padwy. Spośród współczesnych świętych prawdopodobnie największą rzeszą zwolenników cieszy się św. Ojciec Pio, czerstwy i szczery franciszkanin, który budował szpitale na ubogim południu Włoch i już za życia był wzywany do świętości. Również Matka Boska, Madonna, Dziewica może nadal liczyć na silną grupę wiernych czcicieli. Niewielu jednak dzisiejszych pielgrzymów do św. Jakuba wiąże z tym Jakubem jakąś wartość dla własnego życia.

Jednak – i to jest kolejna osobliwość – święci nadal wypełniają swoją rolę. Bez świętych bowiem nie byłoby miejsc pielgrzymkowych, a każdy pielgrzym, wierzący czy nie, zmierza do świętego. Dostarczanie praktycznej pomocy w orientacji dla poszukujących – w tym święci są cały czas dobrzy. A ten ukierunkowany ruch, to zmierzanie do określonego, ale nie wybranego samemu celu, odróżnia zasadniczo pielgrzymowanie od wędrowania. Będąc pielgrzymem jest się w pewnym sensie stale pod urokiem jakiegoś świętego, nawet jeżeli dla kogoś osobiście nic on nie znaczy.

Szlak pielgrzymkowy nie jest więc zwykłą drogą. Wszystko sięga tu początków chrześcijaństwa. Również na szlaku turystycz-

nym szli przed nami ludzie, ale oni nie pozostawili nam nic po sobie. Na szlaku pielgrzymkowym natomiast człowiek włącza się do niewidzialnego strumienia ludzi, którzy mieli przed oczami jasny cel, byli uskrzydleni przez silną wiarę, którzy przez stulecia nasycali tę drogę swoją nadzieją. Na takiej drodze wchodzi się niejako w kontakt z bezgraniczną tęsknotą oraz niewymierzalną nadzieją, które połączyły ludzi wszystkich czasów ze świętymi i z tym, co Boskie. Na drogach pielgrzymkowych człowiek staje się niejako członkiem ludzkiej rodziny, z którą może niekoniecznie podziela tę samą wiarę, ale ma wspólne nadzieje i marzenia. Będąc pielgrzymem nie jest się więc nigdy samotnym. I być może z każdym krokiem na tej drodze przechodzi na nas coś z ufności naszych poprzedników – ufność, że się znajdzie to, czego się szukało. Innymi słowy: nawet jeżeli podejmuje się samotnie takie przedsięwzięcie, wówczas pielgrzymowanie ustanawia wspólnotę sięgającą daleko ponad stulecia i tysiąclecia. W ten sposób można również wyjaśnić solidarność, której doświadcza zawsze pielgrzym w drodze, każde zadzierzgnięcie więzi, które również jako najpiękniejsze doświadczenie z czasów małych pielgrzymek mojej młodości zapadło mi w pamięć.

Czy więc jednak można sobie wychodzić wiarę? „Tę” wiarę być może nie, powiedziałbym, ale „jakąś” wiarę z pewnością. Nie chcę wprawdzie wykluczyć, że ten czy ów, który zerwał z Bogiem i Kościołem na końcu swojej pielgrzymki rzeczywiście powróci do prostej wiary z czasów dzieciństwa lub uzyska nowe spojrzenie na prawdę i wartość wiary. Większość pątników jednak nie mogła opisać sukcesu swojej pielgrzymki jako nawrócenie lub oczyszczenie w chrześcijańskim tego słowa znaczeniu, chętnie jednak potwierdza, że po powrocie z tego typu podróży są wyciszeni wewnętrznie i wzmocnieni. Jako przemienieni, z na nowo rozbudzonym zaufaniem do życia i być może do innych ludzi, może jeszcze z na nowo odnalezioną wiarą w samych sobie. Zaufanie do innych

i zaufanie do samego siebie są jednak elementami pobożnej postawy i kiedy takie doświadczenie staje się udziałem człowieka, wówczas wypełniła się dla niego nadzieja, którą ludzie we wszystkich epokach wiązali z pielgrzymowaniem. Coś bowiem się z nim stało, mimo że należał do czasu, kiedy stroniło się od trudu poszukiwań i w którym od świętych nie oczekuje się pomocy. I już samo to jest dla mnie małym cudem.

Jednym z tych, który to przeżył, jest Bruno. Chcę pod koniec tego rozdziału krótko naszkicować jego historię, ponieważ dają się w niej poznać dwa aspekty pielgrzymowania, o których jeszcze nie było mowy. Bruno był kierownikiem działu w dużej niemieckiej firmie, zanim w wieku 59 lat przeszedł na emeryturę. Nie znalazł jednak spokoju. Nie wytrzymał w domu. Wówczas wyruszył, sam, i przeszedł w 96 dni trasę 2300 kilometrów z Monachium do Santiago de Compostela. Powiedział, że to było dla niego ważne doświadczenie. I wielki sukces. Powrócił szczęśliwy.

Nie trzeba teraz w pierwszej kolejności przywoływać jakiegoś duchowego wyjaśnienia dla tej przemiany – samo przebywanie w drodze może wiele zdziałać podczas życiowego kryzysu. Poprzez marsz uruchomiło się to, co przez miesiące i lata kłębiło się w jego głowie. Zesztywniałe związki męczących myśli rozluźniły się, myśli zaczęły płynąć, w pewnym momencie zaczęły odrywać się od siebie i stopniowo powstaje w głowie nowy obraz własnego życia. I dalej: własna mordęga odciąga od własnego nieszczęścia. Już samo wkroczenie na łono natury jest uwalniające. A poprzez rozmaite historie życia i cierpienia, które słyszy się z czasem, towarzysze drogi uwalniają człowieka z klatki własnego „ja”. Krótko mówiąc – człowiek przestaje kręcić się wokół samego siebie. To wszystko się zgadza. A jednak w historii Brunona jest taka rzecz, która wykracza poza te praktyczne korzyści z pielgrzymowania. To pragnienie, które on sam w jakiejś drobnej uwadze sformułował mniej więcej tak: „Chciałem po prostu iść do innego świata”.

I właśnie o to chodzi w pielgrzymowaniu, przede wszystkim tym wcześniejszym, ale również i dzisiaj: o wymarsz i ucieczkę z dawnego świata, o zerwanie – nawet jeżeli tylko przejściowe – z przyzwyczajeniami, z wygodami, z więziami i zobowiązaniami, o wyjście z uporządkowanych i nieuporządkowanych relacji codziennego życia, także o chwilowe oddalenie się od swojego czasu z jego szybkimi reakcjami, i szybkimi zmianami miejsc. Pielgrzymowanie zakłada przeto męstwo, aby odważyć się na eksperyment na samym sobie. I to jest do szpiku kości chrześcijańskie męstwo.

Pielgrzymi z czasów średniowiecza musieli pożegnać się ze wszystkim, co było im znane. Miesiącami, często latami byli w drodze, kiedy podążali do Rzymu, Santiago de Compostela bądź Jerozolimy i w tym czasie prowadzili inne, niestałe i niepewne życie, wystawieni na palące słońce lub lejący deszcz, dzierców, rozbójników lub wrogo nastawione ludy. Przewodniki pielgrzymkowe tego czasu są naszpikowane ostrzeżeniami; niekiedy wprost radzą unikać podanych z nazwy zajazdów, gdyż tam będąc pielgrzymem można zostać obrabowanym. Krótko mówiąc pielgrzymowanie było ryzykowne, a niebezpieczeństwo, że nigdy się nie osiągnie celu, realne. Decydowano się więc wówczas na radykalną rezygnację, a ślad tego radykalizmu pobrzmiewa jeszcze w historiach współczesnych pielgrzymów, takich jak Bruno, który na ponad trzy miesiące na serio uwolnił się od utartego życia.

Jeśli teraz wysilimy się jeszcze bardziej, szybko trafimy na wielkie europejskie postaci świętych. W historii chrześcijaństwa często było tak: kto chciał się zmienić, gruntownie zmienić, ten rozpoczynał od samego siebie. Ten nie podążał dalej ścieżką swego dotychczasowego życia, nabierał dystansu do własnego czasu, pozostawiał wiele lub wszystko poza sobą i zrywał mosty prowadzące do dotychczasowej egzystencji. Miał odwagę do przeprowadzenia eksperymentu na samym sobie.

Tak postąpił święty Franciszek z Asyżu, jeden z największych rewolucjonistów chrześcijaństwa, który o sobie powiedział: „Opuszczałem moje stulecie”. To jest to, pielgrzymkowy motyw ucieczki – święty Franciszek doprowadził do tego, że sam zdał się na miłość Bożą z taką konsekwencją, jak niemal nikt inny. Ze swoimi czasami zerwał również św. Benedykt z Nursji, założyciel naszego zakonu. Z Rzymu, gdzie studiował w V wieku, wycofał się do niegościnnej samotności Gór Sabińskich i żył tam przez trzy lata jako eremita w jednej z grot, zanim powołał do życia szereg klasztorów, każdy z nich pomyślany jako antyświat i przeciwwaga wobec tej brutalności i bezuczuciowości, które rozprzestrzeniły się w łonie cywilizacji jego epoki. Można byłoby dowolnie wydłużać tę listę chrześcijańskich rewolucjonistów. I we wszystkich przypadkach można byłoby się natknąć na siłę napędu, która wyjaśnia ten niezwykle radykalizm zerwania ze starymi znajomymi i wszystkimi zwyczajami: dla prawdy i miłości nie chcieli już brać w tym wszystkim udziału. Dla miłości i prawdy uwolnili się z oków czasu, panujących stosunków i panującego myślenia.

Ostatecznie każdy mnich opuszcza swoje wcześniejsze życie. Życie w klasztorze jest ciągłą ucieczką i jako mnich jestem dożywotnio w sytuacji pielgrzymy, który pozostawił swoją rodzinę, przyjaciół i krewnych, który zrezygnował z wielu rzeczy, stanowiących niegdyś część życia, i codziennie wyrusza, aby odnaleźć coś większego. Dlatego nie stanowi dla mnie trudności postrzeganie własnego życia jako pielgrzymki – wejście do świata klasztoru przed wieloma laty, etapy i spotkania na mojej drodze jako mnicha i opata, i wszystkie inne zadania, które człowiek podejmuje, kiedy ma cel przed oczami.

Chciałbym w tej książce co nieco opowiedzieć o tej trwającej całe życie pielgrzymce. Poza tym będę dopuszczał do słowa innych pielgrzymów z ich przeżyciami, głosy przeszłości i głosy z teraźniejszości, i w którymś momencie również przyjdzie kolej

na Brunona z całą jego historią. Ci wszyscy świadkowie zaszli na europejskich szlakach pielgrzymkowych dalej niż ja, ponieważ po wstąpieniu do klasztoru praktycznie nie miałem już czasu na pielgrzymowanie – o ile nie chce się traktować jako pewnej formy pielgrzymowania moich licznych podróży, które podejmowałem jako arcyopata Sankt Ottilien, a potem jako opat prymas (tak swoje podróże traktował Jan Paweł II, i tak czyni również Benedykt XVI). Miałem chęć wybrać się w pielgrzymkę do Santiago i zamierzałem zrobić to jesienią 1977 roku. Ale wówczas zostałem w październiku wybrany na urząd arcyopata i skończyło się snucie planów tego rodzaju.

Najbardziej obfitujące w przygody opowieści znajdujące się w tej książce pochodzą, bo czegoż innego można by się spodziewać – z późnego średniowiecza, mianowicie od pewnego dolno-reńskiego rycerza i pewnej Angielki. Rycerzem jest Arnold von Harff, który w 1496 roku wyruszył na pielgrzymkę do Jerozolimy i po drodze rozwinął zadziwiająco żywe zainteresowanie bliskowschodnim światem muzułmańskim. Angielką jest Margery Kempe, która w 1413 roku wybrała się w podróż do Ziemi Świętej i w dramatycznych okolicznościach ostatecznie dotarła do Santiago de Compostela. Z jej zapisków można poznać jej motywy i po raz kolejny okazuje się, jak już wówczas rozmaite były powody podjęcia działań związanych z pielgrzymką: ciekawość i żądza przygód były rozstrzygające dla Arnolda von Harff, podczas gdy Margery Kempe otwarcie poszukiwała doświadczenia wiary i pobożnej ekstazy. Te relacje naocznych świadków są dla nas cenne również dlatego, że uświadamiają nam, w jakiej tradycji znajdujemy się dzisiaj my jako pielgrzymi.

Nie chcę się jednak ograniczać wyłącznie do wielkich, klasycznych celów pielgrzymkowych. Również nieznanne miejsca pielgrzymkowe mają swoją, niekiedy dramatyczną, historię – dobrym tego przykładem jest mała miejscowość Wilsnack nad Elbą. Poja-

wią się w tej książce również pielgrzymki do sanktuariów położonych poza Europą, w Afryce i Ameryce Łacińskiej, pielgrzymki do świętych miejsc chrześcijańskiej Etiopii i wielka indiańska pielgrzymka do czarnego Chrystusa z Tila w południowym Meksyku. Mogą one przekazać, z jaką żarliwością niegdyś u nas pielgrzymowano, jakie masy był w stanie zmobilizować jeden święty. I wreszcie nie zapominajmy o tym, że pielgrzymowanie nie jest jakąś chrześcijańską osobliwością. Stanowi podstawową ludzką potrzebę, by wyczuwać w świętych miejscach boską obecność, gdyż prawie każda religia zna pielgrzymki do takich miejsc – *hadżdż* do Mekki jest najbardziej znaną z nich. Te wszystkie przykłady, relacje i świadectwa ze świata pielgrzymowania będą dla nas stanowić okazję, aby głębiej wdrzeć się w tajemnicę pielgrzymowania. To, co czeka na Was na stronach tej książki, to – krótko mówiąc – doświadczenia pielgrzymkowe z ponad półtora tysiąca lat oraz doświadczenie życiowe 69 lat.